

*Dit zijn de namen (Oto Imiona)* van Tommy Wieringa – vertaald naar het Pools door Jadwiga Jędryas

De Bezige Bij, 2012

(blz. 9 t/m 27)

Rozdział 1.

*Rzeczywistość*

Pontus Berg nie stał się starym człowiekiem, jakim wyobrażał sobie, że zostanie. Czegoś ku temu zabrakło. Nawet sporo. Jako chłopiec, przez pewien czas biegał po obejściu ojca w okularach ochronnych na nosie, z rękoma założonymi na plecach; tak wyobrażał sobie życie starego człowieka. Czasami używał gałęzi jako laski. Niczego tak nie pragnął, jak być starym. Powolnym i ostrożnym; kapitanem, który z opanowaniem pokonuje sztorm. Zamierzał umrzeć mędrce.

Kiedy zaczęło mu ropieć po obu stronach nosa, odłożył okulary z powrotem obok szlifierki w szopie i zaczął cierpliwie czekać na starość, zamiast biec jej naprzeciw.

Poczuł się stary dopiero wtedy, gdy nabawił się zimnej stopy. Miał pięćdziesiąt trzy lata; był jeszcze za młody, by uchodzić za prawdziwie starego, lecz odczytywał znaki. Jakiś nerw w krzyżu doznał ucisku i od tej pory lewa stopa Bega była zimna. Kiedy rankiem stawał na posadzce łazienki, widział, że stopy różnią się barwą. Prawa była dobrze ukrwiona, jak powinna, zaś lewa – blada i zimna. Prawie nic nie czuł, kiedy ją macał. Jakby należała do kogoś innego. Umieranie zaczyna się od stóp, pomyślał Beg.

Tak będzie wyglądać droga ku końcowi: stopniowe oddalanie się jego samego od swego ciała.

Imię jest gościem rzeczywistości, powiedział pewien starochiński filozof, i on, Pontus Berg, coraz częściej zaczynał w ten sposób sytuować się wobec własnego ciała – był jego gościem, zaś owo ciało – rzeczywistością. I rzeczywistość ta właśnie zaczynała uwalniać się od swego gościa.

Dni stają się krótsze, życie wycofuje się do środka. W nocy, nad równiną, długo utrzymują się burze. Beg stoi przed oknem i śledzi ją wzrokiem. Błyskawica w oddali, sieć ognistych pęknięć w sklepieniu nieba. Stoi na linoleum ciepłą i zimną stopą i stwierdza, że musi sobie jeszcze czegoś nalać, by ponownie zasnąć.

Im Berg jest starszy, tym częściej sen zachowuje się jak przewrotny przyjaciel.

Jego mieszkanie znajduje się na skraju miasta. Były plany poszerzenia go na wschód, rozpoczęto nieokreślone prace przygotowawcze do rozbudowy, ale nic z tego nie wyszło; okno wciąż wygląda na bezład narosłych szopek i ogródków oraz bezkresną przestrzeń stepu za nimi. Choć to oznaka stagnacji, jeśli o niego chodzi, może to tak zostać; lubi ten widok.

W małej kuchni wyjmuje z zamrażalki butelkę „Kubanskojej” i sobie nalewa. Nie jest pijakiem - w przeciwieństwie to prawie wszystkich na wschód od Karpat, on się ogranicza.

Potem znowu staje przed oknem i, nie myśląc o niczym konkretnym, spogląda w tubę nocy.

Z sypialni rozlega się kaszel jego gosposi. Raz na miesiąc Beg przywłaszcza ją sobie na jedną noc, choć słowa te niezbyt dobrze oddają charakter ich stosunków. Lepiej byłoby powiedzieć, że to ona raz na miesiąc pozwala się przywłaszczyć na jedną noc. Sama ją określa, zawsze tuż przed swoją miesiączką. Metoda obliczeniowa funkcjonowania jej organów rozrodczych stanowi dla Bega grząski teren, woli o tym nie myśleć. Dowiaduje się na czas, kiedy przypada jego dzień.

Swoje dni płodne gosposia rezerwuje dla narzeczonego, kierowcy ciężarówki, dziesięć lat od niej młodszego. Przewozi on kontenery wypełnione artykułami użytkowymi z Republiki Ludowej do stolicy, skąd szmelc zalewa bazarę całego kraju. Zita czeka cierpliwie na dzień, w którym poprosi ją o rękę.

Pomimo ich prób, wciąż nie zachodzi w ciążę; w ten sposób grozi jej pozostanie bezdzietną. Wiele czasu spędza na kolanach w kościele Benedyktynów. Błaga o dziecko pomiędzy złotymi posągami świętych a kwiatami z plastiku. W konfesjonale ksiądz słucha ludzkich tajemnic; kiedy zstępuje pod schodach w czarnym habicie, jego dłoń kreśli znak

krzyża nad jej głową i błogosławi ją oraz klęczące chłopki w kolorowych chustkach na głowach. Zita czuje, jak krzyż pali jej czoło, tej nocy nasienie zakwitnie.

Z łańcuszka na jej szyi, obok złotego krzyżyka, zwisają również medaliki świętych, którzy zapewniają płodność.

„Kobiety”, myśli Pontus Beg, „to zwierzęta juczne wiary, na swoich grzbietach dźwigają przez świat to, co święte”.

Nigdy nie zdołał nakłonić Zity, by przymknęła oko i podarowała mu płodną noc. Jest bowiem przekonany, że to kierowca zawodzi, nie ona. To wina tych ciężarówek, tyle siedzenia jest niedobre dla mężczyźni. Ścisza ją.

Dziecko? Czy on chce dziecko?

– Niczego sobie nie wyobrażaj, Pontus – mówi Zita.

Jej zdaniem, on nie myśli tego na serio, a jeśli nawet tak, to nie powinien.

Beg wyżej ocenia usługi świadczone przez nią w łóżku niż te poza nim. Nie jest za dobrą gospodynią. Nie sprząta, p o r z ą d k u j e. Jedno pudełko szarego mydła starcza jej na rok. Już dawno przekroczyli punkt, w którym miałby jej coś na ten temat do powiedzenia – zwyczaj ustalił stosunki, nie da się już niczego zakwestionować. Tak jak jest, już pozostanie. Ona porządkuje, a on milczy.

Kiedy Zita jest u niego, Beg pije więcej niż zwykle. Siedzą przy stole, palą i rozmawiają. On opowiada anegdoty, które całkowicie ją pochłaniają. Śmieje się i wzdryga, stanowi wdzięczną publiczność. W minionych latach o niektórych rzeczach opowiedział już trzy albo cztery razy, ona jednak chętnie słucha jego historii z życia policjanta. Przy stole, z Zitą, alkohol nie nastraja go melancholijnie, lecz właśnie wesoło i figlarnie. Cieszy go perspektywa spędzonych z nią wieczorów, są radością jego życia.

Potem idą do łóżka. Gaśnie światło.

Kiedy Zita przychodzi, często zdarza mu się leżeć i czuwać. Zastanawia się, czy może nie jest już za długo sam, przez co nie potrafi przyzwycząić się do obecności ciała obok siebie.

Nad tym i nad innym problemem.

Ona, we śnie, utrzymuje ożywione stosunki ze swoją matką. W nocy, w jego łóżku, wrze jak w ulu. Najpierw, po kochaniu się, śpią godzinę, czasem dwie. A potem się zaczyna. Matka z córką podejmują rozmowę, którą przerwała nagła śmierć. Beg pamięta pierwszy raz, kiedy usłyszał Zitę gadającą w nocy. Przysłuchiwał się jakiś czas tej części rozmowy, która rozgrywała się w jego świecie, nie wiedząc, że po drugiej stronie znajduje się jej matka. Tajemnice, którymi się obie dzieliły, nie były głębokie. Omawiały cenę mąki, jakoś jaj i utrzymującą się hańbę, jaką oznaczają puste sklepy dla kobiety w nastroju do kupienia sobie czegoś nowego. Była to łatwa do śledzenia rozmowa telefoniczna, mimo iż słyszało się tylko to, co mówiono po jednej stronie linii.

Kiedy znużenie stało się nie do zniesienia, Beg ją obudził.

– Mówisz przez sen – oznajmił.

Usiadła w łóżku i rzekła:

- Pontus, przeszkadzasz nam! Znowu będę musiała się nie wiem jak się nagimnastykować, żeby się z nią spotkać!

Od tamtej pory, gdy gadanie zaczynało mu ciążyć, opuszczał łóżko tak, jak tej nocy. Stoi przed oknem na ciepłej i zimnej stopie i wpatruje się w burzę ponad równiną.

## Rozdział 2.

### *Na zachód*

Niebo pękało ponad stepem. W cieniu niskiej wydmy kryła się przed burzą grupka ludzi. Mieli przemoczone ubrania, byli przemarznięci do szpiku kości. W ciągu niezliczonych nocy oczekiwali w ten sposób na powrót dnia, niczym pierwsi ludzie na ziemi, kuląc się przed wściekłością niebios. Ale noc nie miała końca. Ciemności rozciągała się aż po krańce świata, ziemia przestała się kręcić, nowy dzień nie następował.

Pięcioro mężczyzn, kobieta i dziecko. Stracili już jasność myślenia co do tego, dlaczego codziennie na nowo się poruszają; mechanicznie jak słoneczniki ku słońcu. Szli tak, jak oddychali.

Ciągle na zachód, nakazał im tamten człowiek.

To było dawno temu. Na równinie panowała wtedy susza; słońce wypalało ziemię do cna. Rano zlizywali rosę z plastiku, rozkładanego w tym celu, resztę dnia przeżywali w rozpaczliwym pragnieniu. Pragnieniu, które zagłuszało wszelkie myśli; które wywoływało człowiekowi przed oczyma obraz chłodnych stawów, które wyczarowywało w jego uszach dźwięk kapiącego kranu. Błagali o deszcz. Każde wypowiedane słowo miało smak zardzewiałego żelaza. Dziecko, chłopiec, chwycił kciukiem i palcem wskazującym skórę na swoim przedramieniu i za nią pociągnął. Skóra się uniosła i tak pozostała, jak ostra krawędź poskładanego papieru.

Na północy widzieli grafitowe chmury, ale te nigdy się nie zbliżyły.

Mimo to pewnego dnia nadszedł deszcz.

Z początku niewiele, parę kropli, które powitali jak chleb z nieba. Tańczyli pod chmurami, każda kropla była modlitwą. Nadszedł koniec ich pragnienia. Spadło więcej deszczu niż modlitw. Zanosili modły o choćby jeden suchy dzień, jedną noc, która by nie przemoczyła ich ubrań do suchej nitki. Twarz chłopca paliła gorączka. Kilka razy kobiecie wydawało się, że dziecko nie dożyje poranka, ale za każdym razem wstawało i ruszało w

dalszą drogę. Powodowała nim silna wola, by należeć do ocalańców, do tych, którym się udało.

Marzenia, z którymi każdy z nich pierwotnie wyruszył, z biegiem czasu zwiędły i obumarły. Różniły się rozmiarem i wagą, w niektórych żyły one dłużej niż w pozostałych, ale ostatecznie prawie wszystkie przepadły. Słońce starło je na proch, deszcz – wypłukał.

Chłopiec oglądał samoloty na niebie. Śledził wzrokiem trasę ich przelotu. Jeszcze nigdy z bliska nie widział samolotu, ale słyszał o cudzie, w który podróżni w jednym świecie wsiadali i z którego w innym wysiadali; to wszystko w przeciągu ledwie paru godzin. W jego górskiej wiosce samoloty były widoczne jak punkciki na niebie, ciągnęły za sobą białe ślady. Jeden wujek wyruszył samolotem do Ameryki i nigdy już nie wrócił. Później dołączyli do niego ciotka i piątka kuzynostwa.

Chłopiec zrobił samolot z drewna i drutu, na co jego brat powiedział: „Jak samolot może w ogóle latać ze śmigłami, a d o t e g o z silnikiem odrzutowym?”

Próbował wyjaśnić mu różne zasady, ale po jakimś czasie zrezygnował, bo sam dokładnie ich nie znał.

Jego brat został w wiosce. Były słabego zdrowia. To jego, choć był o dwa lata młodszy, wysłano. Został uznany za zdatnego do pokonania trasy. Nie samolotem, ale łądem. Pieniądze na podróż tkwiły w noskach jego butów. Para, którą nosił, kiedy opuszczał dom, już dawno do szczętu się schodziła i stała bezużyteczna. Kiedy na równinie zmarł pewien człowiek, wtedy, gdy było ich jeszcze wielu, chłopiec zabrał jego buty. Ostrożnie zdjął mu je ze stóp, bojąc się, że zmarły otworzy nagle oczy i zacznie krzyczeć: „złodziej, złodziej!”

Ale mężczyzna pozostał martwy i w ten sposób chłopiec stał się właścicielem dwóch dużych, zakurzonych butów sportowych marki Adydos.

Poranek nadszedł w brudnym świetle. Ponownie uruchomili swoje zeszywniałe ciała. Nad ranem piasek był ciężki i mokry, trawa biła ich po nogach.

Późnym rankiem chłopiec dokonał ważnego znaleziska. Paczka papierosowa, na poły

zagrzebana w piasku. Plastikowe torebki, które wiatr rozwiewał po stepie, zwisały z niskich zarośli, lecz nie działało się tak z paczkami po papierosach, które ludzie rzucali na ziemię, by tam pozostały. Więc gdzieś tu nadal byli ludzie, może kiedyś tędy przechodzili, a on trzymał dowód ich istnienia w ręce! Litery marki WESTERN były wyblakłej czerwieni. Spod celofanu widać było skondensowane kropelki. Być może wreszcie teraz znajdą długo wyczekiwaną wioskę lub miasteczko, z daleka zapowiadane przez połyskującą z kościółka złotą sowę. Otrzeptał piasek z wilgotnej paczki i włożył ją do kieszeni. Spoczywały w niej już kamień w kształcie półksiężyca i nóż, który dał mu brat, okręciwszy rękojeść drutem. Rdza wyżarła w metalu ostrza dziurki. Nocami, chłopiec trzymał nóż w dłoni. Drżąc z zadowolenia wyobrażał sobie, jak wwierci go w czyjeś serce.

Palce gładziły celofan. Chciał opowiedzieć o znalezisku kobiecie, jednak nie otworzył buzi. To by zdjęło urok. Znak był przeznaczony specjalnie dla niego. Zadziała, jeśli będzie milczał. W przeciwnym razie – nie, i jeszcze wieki całe będą błądzić po równinie z jego winy. Bo nie potrafił trzymać języka za zębami.

Ich stopy brnęły przez piasek. Przestrzeń, którą przemierzali, była niebotyczna. Pejzaż przed nimi wyglądał dokładnie tak samo jak za nimi, a ten po prawej stronie w niczym nie różnił się od tego po lewej. Niebo na głowami i grunt pod stopami stanowiły na stepie jedyne wytyczne.

Ich kroki szybko za nimi się wymazywały. Byli przechodniami, nie pozostawiającymi za sobą żadnych śladów ani wspomnień.

Kiedy drągał koło południa krzyknął, że widzi wioskę – „Domy! Tam! Wioska! Wioska!” – chłopiec się nie zdziwił. Niemalże pękł z radości, ale nie był zaskoczony.

Pobiegł na przód, gdzie drągał wskazywał drżącą ręką w dal.

– Tam? – zawołał.

– Tam!

Chłopiec niczego nie dojrzał, ale pobiegł w kierunku wskazanym przez drągała. Ten zawsze widział rzeczy wcześniej niż inni; urodzona wieża widokowa.

Chłopiec biegł, unosił się ponad piaskiem. Oto nadchodził wybraniec, chłopiec, którego Bóg wyznaczył do tego, by poinformować go o swych zamiarach przed innymi. Nie czuł już głodu ani zmęczenia. Trawy smagały go po łydkach, płuca paliły w piersi. Ujrzał pierwsze domy.

– Hej! – zawołał, by zawiadomić ludzi o ich nadejściu. – Hej, wy tam!

Była to zatopiona w równinie wieś, owalna i wytarta niczym zerodowana skała. Podbiegł do dużej stodoły. Miała przegniłe krokwie, a dach zapadał się w niej, jak grzbiet starego konia. Chłopiec przebiegł uliczkę między domami, porośniętą trawą równie wysoką, co na równinie. W jego wnętrzu podnosiło mu się bezgłośnie wycie, lecz mózg odmawiał zaakceptowania tego, co widział – puste, nieme okna, zarośnięte ulice.

Ani żywej duszy.

– Halo? – zawołał. – Jest tam kto? – Jego pytanie odbijało się pomiędzy chatami z ładu i drewna. – Gdzie jesteście?

Pociągał za na wpół przegniłe drzwi. Wbiegał do jednego domu po drugim. Puste. Puste i bez ludzi. W sercu wioski wparował do małego kościoła. Skąpe światło, które dostawało się do środka przez górne okna, ujawniło ogrom zniszczenia. Święte księgi rozpadły się na proch i skrawki; ostygły pożar. Chłopiec utorował sobie drogę między zwęglonymi ławkami i szafami i wspinał się na ołtarz. Tam padł na kolana. Pochylił się, rękami zakrywając twarz, i wydał z siebie jęk rannego zwierzęcia.

W takiej pozycji znaleźli go inni.



### Rozdział 3.

#### *Gospodarki*

Pół do siódmej Pontus Beg stał obok swego łóżka. Przeciągnął się, jakby uwalniał się z uścisku zapaśnika.

Umył się i przepłukał sobie gardło płynem do płukania ust. W lustrze zobaczył zwalistego człowieka, o piersiach i ramionach porośniętych siwiejącym włosiem. Pomyślał o chłopcu, który zwykł pływać przy pazie na kanale, o gładkim, bezwłosym ciele. *L e k k o ś ć*; wspomnienie tego drugiego.

W rurach kanalizacyjnych szumiały ścieki mieszkańców z góry. Kiedy ktoś spuszczał wodę w toalecie - kaskada. Pływy grawitacyjne budynku. Początkiem października włączyło się ogrzewanie, budynek się wtedy rozszerzał, skrzypiał, rurami centralnego ogrzewania zaczynała płynąć ze wzdychaniem gorąca woda.

Fałda zasłony prysznicowej skrywała kubeczek z protezą dentystyczną górnej szczęki Zity. Beg pamiętał jej prawdziwe zęby. Stopniowo przebarwiały się na coraz ciemniejszy kolor. Kiedy się śmiała, zakrywała dłonią usta. Wstydziła się uzębienia w odcieniu soku tytoniowego, ale niczego tak bardzo się nie bała, jak dentysty. Beg dał jej pieniądze na wyrwanie górnych zębów i założenie protezy dentystycznej. Poprosiła o znieczulenie ogólne i żyła bezzębnie do czasu, gdy nowe zęby były gotowe.

Technik dentystyczny dobrze wywiązał się z zadania: kiedy się śmiała, jakby otwierała szkatułkę z biżuterią.

„Może i mogę kupić zęby”, pomyślał Beg, „ale nie potrafię sprawić, by usta powiedziały to, co chcę.”

Zita żyła zgodnie z żelaznym planem kobiet. Pracowała ciężko, nie znosiła bzdur. Noce z Begiem uważała za przedłużenie swych zajęć w domu: wycierania kurzu, zamiatania podłóg, gotowania, zmywania, prasowania i cerowania jego znoszonych koszul i mundurów. Każdą z tych czynności wykonywała powoli i z uwagą; w łóżku wydawało mu się czasem, że słyszy

ją nucącą.

Oboje czerpali z siebie łatwo mierzalną korzyść, żadne z nich nie czuło się w żaden sposób pokrzywdzone. Beg postrzegał ten układ jako idealne małżeństwo, w myślach Zity był to świetny związek.

Wszedł do sypialni. Wokół jej zapadniętych ust rysowały się wyraźne linie. We śnie, Zita spoglądała z pogardą; taki wyraz przybierała jej twarz w spoczynku, jedna nie świadczyło to nijak o jej charakterze.

Potrząsnął jej ramieniem.

-Juuz.... – wymamrotała.

W kuchni zaczerpnął zupy z garnka i jadł ją na zimno, zagryzając kromką żytniego chleba.

- Siorbiesz – odezwała się Zita z łazienki. – Normalnie jak prosię.

Beg się uśmiechnął. Tak, to było pod każdym względem dobre małżeństwo.

Kiedy Beg wszedł do poczekalni komendy głównej, dwójka ludzi skoczyła na jego widok na równe nogi. Zaczęli z zaferowaniem mówić. Jeden przejechał owcę drugiego, drugi twierdził, że stado przeszło już przez drogę, kiedy jeszcze nadeszło kolejne zwierzę, „maciorka, proszę pana”, dorzucił znowu pierwszy, „taka piękna sztuka”.

Beg wiedział, że przejechanie czyjejś owcy to skomplikowana sprawa. Zgodnie ze starym zwyczajem koczowników, odpowiadało się nie tylko za zwierzę, które zostało zabite, ale należało również zadośćuczynić za pewną liczbę pokoleń na przyszłość – tak, by można było powiedzieć, że pasterz miał dobry dzień, kiedy jego owcę przejechano.

- Nigdy nie widział pan tak pięknie zbudowanej owieczki – lamentował pasterz.

- Wystarczy! – zawołał Beg.

Za kontuarem Oksana układała na komputerze pasjansa.

- Gdzie jest Koller? – zapytał Beg.

Oksana podniosła wzrok.

- Dzwoniła jego żona. Wrzód pod pachą. Powiedziała, że nie mógł przez niego spać. Poszedł do lekarza.

- Ileż temu facetowi przypadłości się trafia? – rzucił Beg poirytowany.

- Tamto to była przetoka. Na tyłku.

- Kto sporządzi protokół?

Oksana obejrzała się przez ramię na mężczyzn w poczekalni.

- W zasadzie Koller jest na służbie – powiedziała.

Beg pokręcił głową.

- Zadzwoń do Menczewa i wyciągnij go z wyrka.

Nalał sobie kubek kawy i wszedł do gabinetu. W pomieszczeniu było ciepło, poczuł sam siebie: woń własnego ciała wymieszana z dymem papierosowym. Włączył komputer. Ekran pozostał ciemny. Jeszcze raz nacisnął guzik, ale urządzenie nie zareagowało. Zadzwoił do Oksany. Zapukawszy do drzwi, weszła do środka. Spódnica podkreślała zarys dolnych partii jej ciała; tam, gdzie ścisnęła je gumka, dostrzegał kontury jej bielizny. Górne guziki białej, połyskującej bluzki, była odpięte. Zdaniem Bega, pracownik służby publicznej nie powinien się w ten sposób nosić. Może w burdelu Morris, ale nie na komisariacie policji.

Bezradny popatrzył na monitor.

- Znowu nie działa? – zapytała.

Odjechał krzesłem na kółkach do tyłu. Oksana kucnęła i nacisnęła na przycisk „power”. Wstała i obesła biurko.

- No, popatrz – odezwała się. – To dość logiczne.

Uniosła w jego stronę wtyczkę. Powiedziała, że skopie tyłki sprzątaczkom i wcisnęła wtyczkę z powrotem w ścianę. Komputer zaczął sapać, monitor się zapalił.

Beg tęsknił za swoją maszyną do pisania.

Po godzinie Oksana weszła poinformować, że Koller ani Menczew jeszcze się nie zjawili. Dwójka mężczyzn wciąż siedziała w poczekalni.

- Powiedz Kollerowi, że mu kulasy połamię, jak zaraz nie przyjdzie. Ma, kuźwa, dyżur weekendowy. Protokół może spokojnie zrobić i z przetoką.

- Wrzodem.

- Nieważne!

- Przekażę mu mniej więcej tymi słowami.

Beg otworzył mały sejf w swoim gabinecie. W głębi leżały wpływy z tego miesiąca. Gotówka w woreczkach, w kopertach, banknoty złożone między kartkami A4, spięte spinaczami, gumkami. Pieniądze, które policjanci drogówki zebrali przy drogach za przekroczenie szybkości, ignorowanie nakazu zatrzymania się, za jazdę na boso – prowadzenie samochodu bez butów niewątpliwie było zabronione. Po zatrzymaniu pojazdu, pytało się kierowcy, czy - jako winny wykroczeniu - chce zostać wciągnięty do rejestru. Był to sygnał rozpoczęcia transakcję. Nikt nie chciał zostać zarejestrowany. Należności za mandat uiszczano na miejscu.

Beg wszystko podliczył i podzielił zgodnie ze stopniem i wysługą lat. Leżał przed nim stos banknotów, które rozdzielał na masę mniejszych stosików. Powkładał kwoty do kopert, na których napisał nazwisko adresata. Pierwszego każdego miesiąca każdy otrzymywał swoją dolę.

„W tym kraju wszyscy wszystkich okradają”, pomyślał. „A ten, kto nie kradnie, zebrze”. Zewsząd napotykało się wyciągnięte ręce; nie powstał żaden dom ani nie wyświadczono żadnej usługi, by nie towarzyszyły temu wyciągnięte ręce, które

przywłaszczają sobie to i owo z przeznaczonych do tego środków. System działał kompleksowo; był gigantyczną tkanką zbudowaną z łapówek, szeleszczących argumentów, wymuszeń i kradzieży; jak zwał, tak zwał. Jako komendant policji, Beg zajmował pozycję gdzieś w połowie drabiny: wielkie łapska rozkradały kęsy nad nim, małe rączki zagarniały okruszki pod nim. W proceder zamieszani byli wszyscy. Stanowił system gospodarczy, na którym każdy korzystał, jednocześnie się na niego uskarżając.

Opuścił komisariat koło południa i pojechał na obiad do Baru Tiny Bazooki. Michaiłopol: to było jego miasto. Zgodnie z ostatnim spisem ludności liczące trzydzieści dziewięć tysięcy mieszkańców. Swego czasu w tym mieście przygranicznym mieścił się renomowany instytut badań jądrowych oraz działał tu klub hokeja na lodzie, który dwa lata z rzędu awansował do pierwszej ligi i o mały włos nie wygrał krajowych mistrzostw. Beg pamiętał tamtą ekscytację. W czasach największej świetności, na początku minionego stulecia, miasto liczyło sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Stacja kolejowa w Michaiłopolu zapewniała połączenia z resztą świata, co godzinę wyruszało z niej piętnaście pociągów. Beg sam już teraz nawet nie wiedział, którędy przebiegały tory. Szyny wyrwano z podłoża i przerobiono na hangary i ogrodzenia. Podczas mroźnych zim podkłady kolejowe zostały porąbane i zniknęły w piecach. Artdecowski dworzec kolejowy wciąż stał, lecz jego degradacja zbytnio się posunęła, by dało się go ocalić. W jednej z przybudówek pewien przedsiębiorca pogrzebowy zbijał trumny.

Upadek Michaiłopola dokonał się równie gwałtownie, co jego rozkwit. Kiedyś funkcjonowało tutaj szesnaście świątyń - prawosławnych cerkwi i kościołów katolickich - a także dwie synagogi. Nabożeństwa w obrządku ormiańsko-prawosławnym przyciągały młodych z daleka, którzy ciągnęli na nie jak muchy, bo nie było dziewcząt ładniejszych niż Ormianki.

Beg pamiętał jeszcze bójkę, do jakich dochodziło po wyjściu ze świątyni – ojcowie i bracia walczący z wieśniakami, którym wpadły w oko ich córki i siostry.

Ormiańska cerkiew również od dawna nie istniała.

Zaparkował przed Barem Tiny Bazooki i wszedł do środka.

- Pontus, kochany – powitała go Tina, kiedy zajął miejsce za barem.

Tina Bazooka – w jej obecności posążki świętych zaczynały się pocić.

Pogładziła Bega po grzbiecie dłoni. Burdelowych manier za nic w świecie nie dało się wyplenić.

Odwiedził kiedyś jej dziecko – mieszkało z jej matką, na wschodzie kraju. Tina wstawiła do mikrofalówki pieczeń rzymską i nalała mu kufel piwa. Pokazała na komórce zdjęcie syna.

- Ale duży – powiedział Beg.

- Za rok po niego pojedę.

Beg przesunął do niej z powrotem po kontuarze telefon. U puchatego, fluorescencyjnego futerału dyndały wisiorki w kształcie serduszek.

- Czemu nie – odparł. – Tu jest wszystko. Szkoła...

- Tak, a co poza tym? – zapytała sarkastycznie.

- Basen.

- Zamknięty.

- A?

- Chodziłyśmy sobie czasem z dziewczynami popływać. Już się nie da.

Beg usiłował znaleźć jakąś inną atrakcję dla dzieci.

- Park Walentyna – rzucił. – Jest tam...

- Lasek gwałcicieli? Ha, ha.

- Plac zabaw.

- Ma trzynaście lat.

- No to umie grać w nogę – skwitował zadowolony Beg.

Tina odwróciła się gwałtownie i przeszła na drugą stronę baru. Beg w tej chwili zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, i przypomniał sobie – za późno, co za gapa – o stopie jej syna. Tina od zawsze przypisywała zniekształcenie opadom promieniotwórczym; wioska, z której pochodziła, leżała na niesławnym terenie prób jądrowych. Jej wysiłki, żeby uzyskać dla syna legitymację ofiary testów atomowych, spełzły na niczym. Wciąż rodziły się tam regularne potworki, mutanty; stopa końsko-szpotawa nie mogła im się równać. Fakt, iż dziecko urodziło się w szpitalu w Michaiłopolu i prawdopodobnie zostało poczęte w burdelu Morris, także sprawie nie pomógł.

Beg jadł pieczeń rzymską i popijał piwem. Kątem oka obserwował Tinę. Jak one mogły tak rosnąć. Na jej piersiach bujał się ciężki złoty krzyżyk. Tina porzuciła dawny tryb życia; jak wszyscy inni w barze, tak i Beg nie mógł tego odżalować.

Wśród jej klientów krążył taki dowcip: „W czasie ostatniej wieczerzy Jezus z Nazaretu wziął chleb i powiedział: «Bierzcie i jedzcie, to jest ciało moje». Tina Bazooka dawała swoim klientom ciało, mówiąc: «Bierzcie i jedzcie, to jest mój chleb»”.

Kiedy otworzyła bar, większość klienteli podążyła za nią. Wszystkim ogromnie smakowała jej pieczeń rzymska, ale tysiąc razy bardziej woleliby dobrać się do jej ciała.

Z początku czuli się nieswojo, ale każdy się starał, jak mógł.

W sumie, uważał Beg, ów zwrot przebiegł zdumiewająco spokojnie. Być może dlatego nikt się nie skarżył, bo każdy kiedyś dostał swoją jej cząstkę.